

Idąc za czerwono włosą. "Mulholland Drive" na podstawie filmu Davida Lyncha, reż. K. Trzaska, E. Wróblewska, M. Marczewski, Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu

Ktoś mógłby powiedzieć, że rok 2017, który w światowym kinie nie przyniósł znaczących przełomów, należał do Davida Lyncha. Nie dlatego, że autor "Zagubionej autostrady" nakręcił pierwszy po ponad dekadzie film, ale dlatego, że po ćwierćwieczu zrealizował kolejny sezon "Twin Peaks", rozszerzając do granic możliwości granice serialowego gatunku.



Mulholland Drive
w Toruniu

Foto: Materiały prasowe "Mulholland Drive" na podstawie filmu Davida Lyncha

- Spektakl wymyślił nowy szef artystyczny toruńskiej sceny Paweł Paszta i oddał pomysł w ręce trojga młodych inscenizatorów. Wszyscy stawiają w reżyserii pierwsze kroki
- Autorzy zonglują fragmentami opowieści, układając ją w różnych wariantach. Widz odbywa podróż po teatralnym labiryncie
- Przedstawienie anektuje widza, w pełni zajmuje uwagę, wywołuje dziwne napięcie między publicznością i aktorami

Nowe "Twin Peaks" przypomniało, że Lynch jest artystą zdolnym w dzisiejszej sztuce do najbardziej radykalnych gestów: przywołajmy choćby jego niedocenione i niezrozumiane arcydzieło "Inland Empire". Kimś, kto uprawia swoją działkę jedynie na własnych zasadach. Powracam do Davida Lyncha

regularnie, bo jego kino działa na mnie trochę jak narkotyk. A jednak nie wydaje mi się, bym miał kiedykolwiek zgłębić jego tajemnicę. Sekret faceta, który naznaczył ostatnie dekady kina swoim piętnem, a potem wycofał się, by w zaciszu swego domu malować, tworzyć muzykę albo po prostu budować meble, co przynosi mu ponoć szczególną przyjemność.

David Lynch obecny jest w Polsce także dzięki osobistemu uporowi Marka Żydowicza. Pomysłodawca i założyciel festiwalu Camerimage zaprosił go również podczas ostatniej imprezy, aby tym razem otworzył wystawę swoich prac w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej. Ekspozycja jest bezprecedensowa w skali świata, gromadzi bodaj czterysta różnorodnych dzieł artysty. Zobaczyłem ją w ostatnią niedzielę i zrobiła na mnie hipnotyzujące wrażenie. Byłoby dobrze, gdyby "Science and Dynamism" stała się nowym zapłonem do zainteresowania Lynchem w szerszej skali. Choć on sam tworzy chyba wyłącznie dla siebie, odbiorca musi wejść w jego świat. Czy to robi, to już kwestia jego wrażliwości.

Toruń jest dzisiaj polskim miastem Lyncha, bo oprócz CSW spotkanie z twórcą "Głowy do wycierania" proponuje Teatr im. Wilama Horzycy. Lynch jako scenarzysta teatralny – to na pierwszy rzut oka wydaje się niemożliwe, bo jego filmy – jak niewiele innych – karmią się żywiołem kina, najważniejsze jest w nich zespolenie obrazu i dźwięku. Żaden teatr nie stworzy zatem ekwiwalentu któregośkolwiek z tytułów z filмотeki Lyncha, bo to nawet z udziałem jego samego byłoby niemożliwe. Teatr Horzycy na szczęście nawet nie próbował, a jednak fani twórczości amerykańskiego reżysera będą zadowoleni.

"Mulholland Drive" wymyślił nowy szef artystyczny toruńskiej sceny Paweł Paszta i oddał pomysł w ręce trojga młodych inscenizatorów – Katarzyny Trzaski, Edyty Wróblewskiej i Macieja Marczewskiego. Trzaska i Wróblewska mają za sobą filmy dokumentalne, a wcześniej doceniane szkolne etiudy, Marczewski dał się dotychczas poznać jako aktor – należał do zespołu Teatru Współczesnego w Warszawie, grywał w filmach i serialach. Z tego, co wiem, gdy idzie o reżyserię teatralną wszyscy stawiają pierwsze kroki. Cała trójka z sukcesem, choć fragmenty przygotowane przez Trzaskę i Wróblewską cenię zdecydowanie wyżej niż ten Marczewskiego.

"Mulholland Drive" pochodzi z 2001 roku, po nim, gdy idzie o pełnometrażowe fabuły, Lynch zrobił już tylko "Inland Empire". On sam uznawał film za love story, bawiąc się zwielokrotnionymi tożsamościami bohaterów. Sceniczna wariacja na temat żywi się tym samym. W seansie Trzaski, Wróblewskiej i Marczewskiej nikt nie jest tym, którym się wydaje i za którego się podaje. Aktorzy Teatru Horzycy grają po kilka ról, wcielając się w te same postaci. Trzy części wieczoru rozgrywają się w różnych przestrzeniach toruńskiego teatru, z wyjątkiem górnego foyer zwykle zamkniętych dla widzów. Na starcie dostajemy kolorowe znaczki, oznaczające przyporządkowanie do jednej z trzech grup. Dostałem czerwony, więc moją przewodniczką została dziewczyna w czerwonej peruce. Idąc za nią, poznałem "Mulholland Drive" w porządku, jaki zakładał scenariusz Lyncha. Ale można było też inaczej. Autorzy spektaklu zonglują fragmentami opowieści, układając ją w różnych wariantach. Mamy więc odbyć podróż po teatralnym labiryncie, ważniejszy jest jednak labirynt, który kryją w sobie wszyscy bohaterowie tej historii.

Toruńskie przedstawienie bawi się iluzją mitu dawnego Hollywood. Betty (Julia Sobiesiak) ma w sobie wyidealizowany obraz gwiazd kina, chętnie zakłada nowe peruki. Za chwilę Betty będzie już jednak Mirosława Sobik i z dawnej bohaterki zostaną tylko sztuczne włosy blond. Potem stanie się nią Joanna Rozkosz i to z nią trafimy w piekło desperacji. Trzy świetne role, tylko z pozoru czasem

niewielkie objętością zadania. Pochwały należą się jednak całemu zespołowi Horzycy, próbującemu tym razem innego niż dotychczas, mocno sformalizowanego, a przy tym filmowego grania. Warto patrzeć, jak bawią się konwencją Maria Kierzkowska i Jolanta Teska, co ze swym epizodem robi Anna Magalska. Lynch portretował w "Mulholland Drive" głównie kobiety, zatem panowie zostają nieco w tyle. Z małymi wyjątkami nie mam im jednak nic do zarzucenia.

Najważniejsze jednak, że toruńskie przedstawienie anektuje widza, w pełni zajmuje naszą uwagę, wywołuje dziwne napięcie między publicznością i aktorami. Grają na wyciągnięcie ręki, nas zamykają w chorym świecie lynchowskiej wyobraźni. Operują inną skalą, ale wiele z niej ocalają dla widowiska. Ktoś powie, że "Mulholland Drive" nie ma w sobie wywrotowości dzisiejszego nowego teatru, bo twórcy operują w sferze estetyki i fantazji, a podobną historię można było opowiedzieć linearnie w tradycyjnej przestrzeni. Zapytam – i cóż z tego? Nie bywam w Toruniu zbyt często, ale życzylibym tamtejszym artystom, by takie projekty ściągnęły na Horzycę nieco należnej mu uwagi. Są w Toruniu świetni aktorzy, pracują poważni reżyserzy. Teraz czas na nowe spojrzenie, którego w ostatnich latach może trochę brakowało.